ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Ś., 1-go Grudnia 1896. Nr. 23.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

NIEDŹWIEDNIK.

OPOWIADANIE.

Żył przed 50 laty szlachcic, zwany Niedźwiednik. Był to jego przydomek dla nadzwyczajnej siły, gdyż każdego przełamał niedźwiedzia, z którym się spotkał. Właściwie nazywał się Roch Dąbrowa. Postać jego nie okazywała bynajmniej tej olbrzymiej siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu; poruszenia żywe, ręka nie wielka, ale żylasta, twarz wesoła i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę i czapkę, na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, nie wiele różniącem się od chałupy wieśniaka, a jeden zagon roli 12 łokci szeroki, 100 sążni długi, były całem dziedzictwem Niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach, zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł w obszerne knieje na grubego zwierza, co nie były tak puste, jak dzisiaj, kędy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia i łosia. A przecież kaftan mam łosi i skór kilka na posłanie z łosiów, co ich sam powaliłem przed 40 laty. Gdzież to dziś zobaczysz? I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom. Nie strzelił on do zająca, ani lisa; każdego ptaka omijał: lecz zato w obszernej puszczy nie darował niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom, ale i w tem zachowywał szczególny zwyczaj. Żaden z myśliwych nie widział go, by użył strzelby na niedźwiedzia, chyba że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak go nazywał, kija. Była to pałka, jak dwie ręce gruba, u góry zaokrąglona na kształt buławy; nagłówek ten był nasadzony trójkątnemi gwoździami grubemi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziryt.

Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia, i gdy ten rozjuszony, na dwóch łapach wspięty, zbliżył się do Dąbrowy, ten pchnął go naprzód dzirytem, a potem za jednem uderzeniem pałką rozciągał go u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiej czapkę na lewe ucho, dobywał myśliwskiego noża i nietylko, że odcinał, po zdjęciu skóry, łapy niedźwiedziowi, — ulubiony przysmak na wielkich stołach, — ale nadto wykrawał pie-

czenie, które swemi delicyjami nazywał. Sąsiedni kmiecie, często rozmawiając o nim, gdy przyszło wspomnieć o nadzwyczajnej sile, zawsze mówili: Nie dziwota, musi być mocny, jak niedźwiedź, kiedy się żywi pieczeniami z niedźwiedzi i szpik z kości wypija. Mimo to wszakże nie mogli pojąć, jak człowiek taki może być zdrów i silny, nie pijąc ani wódki, ani miodu, ani piwa; napojem zwyczajnym u niego była kryniczna woda. Nie pogardzał i futrem z lisa, ale na niego umiał tak zręcznie stawiać samołówki, że w zimowej porze, kiedy najlepsze skóry, nietylko że bodaj nie corocznie sam się zaopatrywał w nową lisiurkę, ale za sprzedane futra zbierał niemało grosiwa.

Mówiono potajemnie, że ma wiele zakopanego grosiwa, i musiał mieć wiele, bo o nic nikogo nie prosił. Samotny, bezżenny; łowy były dla niego rozrywką i uciechą. Pan na jednym zagonie, sam go łatwo mógł uprawić i zebrać. Ogród warzywny i sad, pełen smacznego owocu, dostarczały mu dosyć żywności przy obfitej zwierzynie. O! pamiętam jeszcze te gruszki-małgorzatki wczesne i jak czerwień, jabłka; wdzierałem się nieraz na drzewa i strząsałem owoc, a Niedźwiednik śmiał się ze swego, jak mnie nazywał, Tadeuszka. W obszernej izbie łoże było zasłane wilczemi i niedźwiedziemi skórami, inne rozesłane na ziemi; tu spały cztery ogromne kundle i wyżeł, a na wysokiem berle siedział uczony jastrząb, którego używał na ptaki i zające. Na cały nasz powiat Niedźwiednik był osobliwością; a trzeba wiedzieć, że wtedy u nas niebrakło silnych ludzi i dobrych myśliwych: wszakże wszyscy przy nim gaśli, jak klecha przed organistą. Nie dosyć, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie; ile razy dziedzicowi tego sioła, kędy mieszkał, chciał podarek zrobić, — a zawsze to czynił na kolędę i przed wielkanocą, — przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się nad tem dziwił, i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, by zobaczyć tak osobliwego strzelca. Był przytem pobożny i uczciwy człowiek, niektórzy oskarżali go o czary, że ma związki z djabłem, lecz to wszystko kłamali wierutnie. Mój rodzic, świętej pamięci, mieszkał o sześć mil od tej wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym kuligu z dziatwą i z matką naszą zajechał w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka i dwie dorosłe panny siostry; rodzic przy woźnicy sam powoził. W ostatni Wtorek podochocony wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, żeby w doma na popielec stanąć. Za gęstym lasem — pamiętam, jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć; — iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świecilci i księżyc; tak widno było, żeby szeląg znaleźć, za gęstym, mówię, lasem nagle konie poczęły parskać, a niebożczyk mój rodzic, widząc, co się świeci, świsnął i jak wiatr, posunęły na ślizkim śniegu sanie. Wilków stado zabiegało nam z boku; skręcił końmi w inną stronę i na nieszczęście w rowie wywrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy wystraszony zawołał, podniosłszy sanie: »Prędzej do sani! bo jeżeli nie ucieckniemy, zginiemy bez ratunku!« Matka i panny siostry usiadły prędko; ruszył, co koń wyskoczy, a ja, zagrzebany w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, wychyliłem głowę; widziałem, jak za rodzicem pędzą wilcy, z przestrachu przysiadłem, sen mię zmorzył i zmarzłem. Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu Niedźwiednika; nacierał mi twarz śniegiem, cztery ogromne kundle stały obok niego, a dalej jednokonne sanki, pełne lisów, i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył, że żyję, zaniósł mnie do sanek i przywiózł do domu. Lecz nie zostawił mnie w ciepłej izbie; rozebrał do noga i na podwórzu, wśród mrozu, natarł mocno śniegiem: wtedy obwinął w skórę wilczą i położył na swojem łożu. W kilka dni już zdrów byłem, a Niedźwiednik, dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł do domu. Drżało mi serce z radości, kiedym ujrzał suche gałęzie lipowej drogi i dwór mego ojca. Zostawił mnie w saniach, a sam wszedł do komnaty. Pan ojciec dopiero za powrotem do domu zobaczył,

że syna stracił. Matka w saniach i panny siostry bez pamięci, ze strachu nawet wysieść nie mogły; w całym dworze powstał lament i płacz wielki, porozsyłano czeladź, ale szukano napróżno. Skłonił się rodzicowi Niedźwiednik, i żeby zbytnia radość nie zaszkodziła, prosił do osobnej izby. Tam mu powiedział, jak mnie uratował i że przywiózł ze sobą. Pan ojciec nie wiedział, jak dziękować; płakał z radości, ściskał i całował mojego wybawcę. Powrócili do komnaty, gdzie matka i panny siostry zapłakane siedziały. Rodzic kazał jednej pobiedz do piwnicy po węgrzyna, a sam rzekł do matki mojej: »No! dzieweczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przywozi o naszym Tadeuszku.« Żyje?! zawołała. »Nietylko żyje, ale przyjechał.« — Ja zaraz wbiegłem do izby, upadłem do nóg panu ojcu i matce, a Niedźwiednik płakał i wszyscy. Kiedy go chciał rodzic węgrzynem częstować, podziękował za wino i żadnego daru nie przyjął, wyjąwszy strzelbę, jako pamiątkę. Jeżeli pan Chorąży, powiedział ojcu, chce mi wynagrodzić, niech samotnego Niedźwiednika często pan Tadeusz nawiedza. Nauczę go strzelać, a te odwiedziny rozweselą starego myśliwca. Nie długo się bawił, bo spieszył, jak mówił, ściągać lisy z samołówek. Od tego czasu zawsze co rok na miesiąc cały do niego wyjeżdżałem; on mnie wprawiał do strzelby, i mogę rzec bez chluby, że po nim w naszej ziemi, jako myśliwy, rej wodziłem, a niemiałem, jak szesnasty roczek.

Często spraszał mój rodzic przyjaciół i krewnych na łowy, a miał u siebie dwie knieje; wtedy i mój wybawca zjeżdzał. Pamiętam dobrze, pokazał się raz ogromny niedźwiedź i szkody nie mało nam robił. Trzeba go było sprzątnąć. Wielu sąsiadów myśliwych zebrało się razem, był i Niedźwiednik; stałem blizko niego i ojca. Prędko psy go poruszyły; pokaleczył kilku i wypadł na drogę, kędyśmy stali. Niedźwiednik miał czerwoną czapkę, ku tej więc stronie rzucił się wściekły. Przypuścił go może na cztery kroki i wtedy podniósł jeszcze broń, spojrzał, czy dobra podsypka, zmierzył, a z połyskiem powalił się niedźwiedź, ale tak blizko, że musiał uskoczyć, boby go był przygniótł ogromem swoim. Wesołe okrzyki rozległy się po lesie, a zwycięzca, oddawszy skórę i łapy, wykroił pieczeń i schował do torby.

Nadchodziły imieniny mojego rodzica; pojechałem do niego, ażeby zwierzyny przysposobić. Na kuropatwy poszliśmy z jastrzębiem i bez strzału 20 par złowili. Wtedy Niedźwiednik rzekł do mnie: No! mój Tadeuszku, trzeba coś grubszego panu ojcu zawieźć; pojutrze imieniny, jutro ze świtem ułapiemy dzika żywego i tak zdrowego zawieziemy, jak te kuropatwy, co je wybraliśmy po jastrzębiu z pod odjazdu. Serce biło mi z radości, jeszcze bowiem nie widziałem, jakto można wziąść żywego dzika w kniei. Mało co spałem, przed świtem już byłem na nogach; ubrany Niedźwiednik wziął cztery swoje kundle, zarzucił strzelbę i ostry przywiązał do pasa obosieczny kordelas. Słońce jeno poczęło wschodzić, kiedy już byłem na stanowisku. Za małą chwilkę usłyszałem szczekanie psów głośne, a prędko potem słychać jeno było ciche warczenie. Poskoczyłem; patrzę i widzę, jak na małej łące kundle przytrzymały ogromnego dzika: dwóch trzymało za uszy, a dwóch za tylne racice. Usłyszałem trzask gałęzi, i wnet pokazał się Niedźwiednik. Leciał prędko, i widziałem, że pędził za psami; w rękach mu błyskał ostry kordelas. W pełnym biegu dosiadł na grzbiet dzika i sznurem surowcowym, co go miał za pasem, skrępował ryj dzika, wybił kły żelazem, a przebiwszy niem przednie pod kolanami racice, poza żyły tenże sam sznur przeciągnął i silnie związał. A on dzik ogromny, postrach psów i myśliwych, bezsilny upadł. Wtedy oparłszy zwycięzką nogę na czarnoosmolonym grzbiecie, rzekł do mnie: Tadeuszku, przy trzech brzozach stoi fura, sprowadźcie ją tutaj; ruszymy do dworu pana ojca z podarkiem myśliwskim. Siedząc na dziku uradowani, z pełną furą zwierzy-

ny, żwawo popędzaliśmy konie i w domu stanęliśmy nad wieczorem. Ja rodzicowi ofiarowałem kuropatwy, dropia, sarnę i kilka zajęcy, a Niedźwiednik, przywiązawszy na długim sznurze dzika u lipy, co stała na środku obszernego podwórza, wszedł do komnaty, powinszował i prosił, by wyszedł zobaczyć podarek starego łowcy.

Już wiele było gości; wszyscy, zdjęci ciekawością, wybiegli. Jakiż był ich podziw, gdy ujrzeli żywego dzika, co obchodził wkoło lipy! Rodzic mój rozradowany, wypił zdrowie z ogromnego puchara dzielnego myśliwca, i sąsiedzi powtórzyli to wszyscy. Wnet wyniesiono strzelb kilka; zaczęli strzelać podochoceni goście, a gdy dzika powalili na ziemię, trąbki myśliwych ogłosiły koniec tej uciechy. W on czas sąsiedzi porwali Niedźwiednika na ręce i nosili po całem podwórzu, śpiewając oną sławną myśliwską piosneczkę:

Siedzi zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą.

Stary strzelec płakał z radości; przy wieczerzy posadzono go na starszem miejscu, a co nie pił nigdy, wtedy rozochocił go węgrzyn. We dwa miesiące już płakałem nad jego grobem! — Tu westchnął boleśnie stary Tadeusz. — Jak żył, tak skończył; nie umarł zwyczajną śmiercią. Polowano na niedźwiedzicę, co wiele robiła w okolicy szkody. Wybrał się też Niedźwiednik ze swoim, jak nazywał, kijem; kij ten 14 zgładził niedźwiedzi. Kiedy, poruszona z legowiska, wypadła rozżarta, wtedy wysunął się zza drzewa i ugodził ostrym dzirytem, ale ten się osunął po kości; już niemiał czasu poprawić ciosu. Pochwyciła go w silne łapy. Blizko stojąc, usłyszałem jęk cichy i chrzęst gruchotanych kości. Zemściłem się, bo z mojej strzelby poległa od razu; ale mój wybawca leżał bez duszy, cały krwią zlany.

Tak skończył stary myśliwiec, jakiego już więcej oczy moje nie zobaczą. Opłakiwałem go ciężko, a świętej pamięci mój rodzic wystawił piękny krzyż z kamienia w tem miejscu, gdzie życie skończył, i na nim dał wyryć, jak upadł pod zajadłym niedźwiedziem.

ROZBÓJNICY.

LEGENDA PRZEZ KS. HOŁOWIŃSKIEGO.

Trzy góry wyniosłe,
Drzewami porosłe,
A rzeka u spodu gór;
Płaszczyzna za rzeką
Ciągnie się daleko,
A w głębi czarnieje bór.

Gdzie góra środkowa,
Tam w grocie się chowa
Mnich Jan, chcąc samotnie żyć;
Lecz braci nie mało
Do niego przystało,
By Twórcę w pustyni czcić.

Lud, widząc wzorowe
Ich życie surowe,
Obfite jałmużny słał;
Przez niedługie lata,
Świątynia bogata
I klasztór na górze stał.

Skarbami dźwignięty
Od królów, gmach święty
Niema tyle łaski sił,
Jak ten, co postami,
Czuwaniem i łzami,
I modły wzniesiony był.

W północnej raz chwili
Tam zbójce przybyli,
Pragnąc zrabować ten gmach;
Blask w oknie wciąż błyska,
I patrzą tam zbliska,
A nagle zdejmie ich strach.

Bo zbójce ujrzeli,
Że krzyżem śród celi
Leżał i modlił się Jan;
Lecz trudny był połów,
Bo przy nim aniołów
Wokoło postawił Pan.

W niezmiernym przestrachu
Natychmiast od gmachu
W gęstwinę ruszyli w skok;
Strach przeszedł i we dnie
Już mówią: To brednie
Tuman omamił nam wzrok.

W noc drugą przychodzą,
Mur wielki znachodzą,
Co wokoło otaczał gmach;
I to ich zdziwiło,
Bo we dnie nie było,
I znowu ogarnął strach.

Jan wkoło klasztora,
Gdy była ta pora,
Chodząc, na modlitwie trwał;
A szczere te modły
Mur wielki wywiodły,
Co w oku tych zbójców stał.

Strach przeszedł i we dnie
Znów mówią: To brednie,
Tumanem zwiodła nas noc;
Porzucim ich cele
Bo tylko w kościele
Skarbów zebrana jest moc.

I w nocnej godzinie
Przyszli pod świątynię,
Blask widzą i słyszą śpiew;
I mówią: Znać rano,
Nim modły ustaną,
Skryjmy się w gęstwinę drzew.

I często wracają,
Lecz zawsze zastają
W kościele śpiewy i blask;
A gdy tak czas ronią,
Na jutrznię zadzwonią,
Bo się zbierało na brzask.

Idą do świątnicy
Wszyscy zakonnicy,
A zbójców ogarnie gniew;
»Tfu! czy czarów siła
Tak nas omamiła,
Żeśmy słyszeli ten śpiew?

Obstąpmy do koła,
Wpadniem do kościoła,
I mnichów wytniemy w pień;
Gmach złupim do szczętu
Ze skarbów i sprzętu,
Nim jeszcze zabłyśnie dzień.«

Gdy kościół obtoczą
I do drzwi przyskoczą,
Cud straszny wstrzymał ich krok;
Gmach wzbił się od ziemi
I zawisł nad niemi,
W zdumieniu podnoszą wzrok.

I żaden w kościele
Nieczuł, jak Bóg wiele
Uczynił w modlitwy czas;
A zbójce w przestrachu,
Natychmiast od gmachu
Piorunem pobiegli w las.

Lecz kilku wróciło,
I w zakonie było,
Gładząc pokutą swój błąd;
A tych, których Boga
Nietknęła przestroga,
Pojmanych ćwiertował sąd.

Z ALWERNII WŁOSKIEJ.

(Dokończenie.)

Św. Franciszek odwiedził Alwernią przynajmniej sześć razy, a za każdą razą przebywał tam po kilka miesięcy, oddając się umartwieniu i rozmyślaniu o Męce Pańskiej, która jego chleb codzienny stanowiła. Za każdą też razą pozostały dziś jeszcze istniejące pamiątki jego pobytu. Za pierwszego pobytu na tej górze świętej pragnął mąż boży przedewszystkiem poznać jej własności naturalne. Więc chodząc dnia jednego po głazach, rozpadlinach i jarach jej, znalazł pewne miejsce kształtem dziwniejsze od wszystkich innych. Jestto straszna rozpadlina, otoczona zewsząd ścianami skał prostopadłych, wydrążeniami niezgłębionemi i głazami ogromnymi; na jej stronie zachodniej znajdują się dwie potężne bryły, ułożone w ten sposób, że jedna z nich podnosi się prostopadle w górę nakształt ściany, druga zaś opiera się o pierwszą i wisi w powietrzu jak baldachim. Co jednak w tem jest dziwnego, to że druga bryła wielkości ogromnej jest prawie zupełnie odczepiona i odłączona zewsząd od góry, wisząc niemal w powietrzu. Kto o tem słyszy, temu się to wyda niemożliwem,

ale patrzącemu na owo zjawisko natury wydaje się on raczej rzeczą cudowną niż naturalną i wzbudza w widzu podziw i przestrach. Otóż tam św. Franciszek odmawiał codziennie psalmy penitencyalne. Tam też wedle tego, co mówi św. Bonawentura w legendzie o św. Franciszku, było mu objawionem, że dziwny ów ustrój skał poszarpanych pochodził z chwili śmierci Pana Jezusa, kiedy skały pękały (»et scissae sunt petrae«). Możnaby oczywiście oznaczyć prawa naturalne, według których bryła ta utrzymuje się w powietrzu, lecz pielgrzym pobożny i przejęty woli wierzyć, że ją ręka Wszechmogącego podtrzymuje.

Do innego miejsca nie mniej dziwnego ukształtowaniem skał jest przywiązana następująca legenda. Za pierwszego również pobytu św. Franciszka na błogosławionej tej górze przemieszkiwał tam pewien herszt rozgałęzionej bandy zbójeckiej, narodowością, jak podanie niesie, Sławianin, przezwany dla swego okrucieństwa i chciwości swej nienasyconej wilkiem. Ten napadał na kupców podróżujących traktem umbryjskim i ankonitańskim, ograbiając ich z mienia lub prowadząc ze sobą na górę Alwernią w niewolę chwilową tych, od których ufał wycisnąć sumę pokaźniejszą. To miejsce ich niewoli zachowało się aż do dnia dzisiejszego. Jestto ogromny głaz granitowy, wyrosły w fałdzie góry ze strony północnej, kształtem przypominający wieżę stóżkowatą, usadzony mocno w głębi przepaścistej, odosobniony zresztą zewsząd od samej góry na trzy lub cztery metry, straszny, do przewróconej piramidy podobny. Tamdotąd więc sprowadzał ów herszt pojmanych kupców lub pielgrzymów przez most przemyślnie urządzony i usunąć się mogący, a nałożywszy na nich względny okup, pozostawiał ich losowi. Nie podobało się oczywiście Wilkowi, że bracia mniejsi, obrawszy sobie to miejsce za pobyt stały, mogli mu przeszkodzić w krwawem rzemiośle. Spotkawszy tedy pewnego razu św. Franciszka, jął go lżyć i zmuszać do opuszczenia góry. Lecz Święty znosił wszystko cierpliwie, potem począł łagodnie herszta upominać i namawiać do pokuty za zabójstwa popełnione, dopóki ów łaską bożą tknięty i ujęty łagodnością świętego nie rzucił mu się do nóg, a wilk nie przemienił się w łagodnego baranka. Więcej, sam przyjął habit braci mniejszych i zakończył święcie swój żywot w zakonie tym pod imieniem brata Baranka.

I z następnych pobytów Franciszka na górze Alwernii pozostały liczne pamiątki, z których pielgrzym pobożny za najważniejsze oceni następujące:

Odkąd świętemu było objawionem, że owe liczne i dziwne rozpadliny i jary tej góry nastąpiły skutkiem śmierci Boga-Człowieka, upodobał sobie coraz więcej w tych miejscach, które mu się wydawały podatniejszemi do wzbudzenia żalu i płaczu. Przybywszy więc poraz drugi czy trzeci na górę, znalazł na niej jednę grotę utworzoną z głazów poprzewracanych i opierających się jeden o drugi w kształtach dzikich i zatrważających. W tej grocie czyli raczej szczelinie do dziś dnia istniejącej leży na ziemi kamień podłużny, wąski, nie wysoki, równy. Tu przepędzał Patryarcha dnie i noce na modlitwie, a kiedy zmorzony umartwieniem i czuwaniem uczuwał potrzebę wypoczynku, siadał lub układał się na owym kamieniu i wypoczywał. Ztąd kamień ów przyjął nazwę łóżka św. Franciszka. O tem to łóżku i grocie tej zapewnie śpiewał wychwalając cnotę ubóstwa, jeden z jego synów:

»Ni się lęka, by złodzieje
Włamali się w jej wierzeje.
Bez tłómoczka jak wiatr lekka,
Do drzwi puka, u drzwi czeka.

Zwykle z sobą nic nie nosi
Oprócz chleba, co wyprosi,
Nie zna, co miękkie łóżeczko,
Co swój kącik, swe gniazdeczko. (*Siemieński.*)

Nie daleko od tej groty zwanej powszechnie łóżkiem św. Franciszka, lecz cośkolwiek w kierunku zachodnim, tam właśnie gdzie góra Alwernia wyrasta prostopadle do wysokości znacznej a potem tworzy wiszar wspaniały swą dzikością, uwieńczony rozłożystym bukiem, spełniły się w św. Franciszku obietnice

Pana, z których zasłynął na świat cały Zakonodawca. Tam otrzymał Święty blizny czyli piętna Ran Syna Człowieczego, nosząc je aż do śmierci, to jest przez dwa lata i dwadzieścia dni.

W dniu Podwyższenia krzyża w miesiącu wrześniu r. 1224 przy wschodzącem słońcu, odmówiwszy jutrznię, wyszedł Franciszek ze swej groty w kierunku wiszaru, a upadłszy na kolana prosił Pana ze wzniesionemi dłońmi i głową, aby mu wedle obietnicy poprzednio uczynionej udzielić raczył przed śmiercią łaski cierpieć tak, jak Jego Syn Jednorodzony cierpiał w czasie męki na Golgocie; kochać tak, jak On ukochał ludzkość grzeszną, iż życia swego za nią oddać nie wahał się. Kiedy duchem mąż boży tonie w Bogu, nagle jego samego okrąża wstęga świetlista, góra gore światłością, promienisty Serafin i uskrzydlony i ukrzyżowany otacza Franciszka, przeszywa mu płomieniem jasnym ręce, przeszywa stopy, przeszywa bok; a nowy człowiek ukrzyżowany, boleścią i miłością przebity, świeci z góry alwernijskiej wiekom i prowadzi ludzkość zwątpiałą w jaśniejszą przyszłość a — sam śpiewa:

»... Padłem podobien do głazu
I powstać nie miałem siły.
Z pobitem, podartem ciałem,
Niby leżący na marach,
Bez tchu na ziemi leżałem,
W miłości gorejąc żarach...
Umarły, lecz nie trup jeszcze
Tylko zabity rozkoszą,
W tem przejdą ogniste dreszcze,
Własne mię siły podnoszą.
Jużem tak silny, że mogę
Na przewodników skinienie,
Do nieba puścić się w drogę
Miłością wtrącon w płomienie...
Chrystus mię bowiem miłością
Dawno ukochał serdeczną.
Jego miłością szczęśliwy,
Widzę w serca zachwyceniach
Wizerunek jego żywy...
W miłości gorę płomieniach...« (*Siemieński.*)

Dzisiaj na tem pamiętnem miejscu jest wybudowana piękna kapliczka w stylu renesansowym i ozdobiona arcydziełem z terakoty Lucca della Robbia, przedstawiającem ukrzyżowanie Pana Jezusa. Dzieło to jest największem co do rozmiarów mistrza tego. — Wogóle kościół i kaplice na Alwernii obfitują w dzieła Lucca della Robbia i jego szkoły. — W środku zaś rzeczonej kaplicy przed ołtarzem jest małe wzniesienie zakratowane, na którem cudowne zdarzenie otrzymania blizn nastąpiło. Łzy cisną się do oczu, kiedy w czasie procesyi cała rzesza uboga synów św. Franciszka i pielgrzymów śpiewa tutaj z przepełnionem sercem ten wierszyk: Signasti Domine — hic — servum tuum Franciscum signis redemptionis nostrae. Przyczem wszyscy przy słowie — hic — wskazują palcem na owo wzniesienie.

Ale lodu tam nie ma na górze. Owszem jest płomień. Płomień miłości, którą wszczepił Franciszek. Albowiem jak Vallombrossa slynie pięknością położenia, Camaldoli bogactwem, tak Alwernia jaśnieje świętością, która nakształt balsamu rozciekła się po całej górze. Tę świętość odkrył i rozdmuchał św. Franciszek. Zato niech mu wdzięczność będzie wieczna.

Staropolanin.

BARBARZYŃSKIE OBRZĘDY GRZEBANIA ZMARŁYCH.

Zwiędły już kwiaty w ogrodach i na cmentarzach. Liście drzew, utraciwszy żywe swe barwy, szumią wiatrem jesiennym, a smętnie nastrojonej duszy zdaje się, że słyszy w tym szumie przeciągłe łkania. Cała przyroda mówi nam o śmierci. Tłumnie dążymy do miejsc, gdzie wieczny smutek czarnemi skrzydłami osłania mogiły, na cmentarze, na których spoczywają szczątki drogich nam zmarłych. Groby nasze są przybytkiem ziemskiej śmierci, ale zarazem są poczęciem nieśmiertelnego żywota. Słusznie też pamięć zmarłych czcimy strojeniem grobów w kwiaty i dzieła sztuki, słusznie przy oddawaniu śmier-



WILKI.

telnych szczątków ziemi obrzędowi temu staramy się nadać wyraz najwyższej powagi uroczystości.

Ale podczas gdy u nas nieboszczyk stanowi przedmiot naszej czci, zupełnie inaczej rzecz się ma u ludów dzikich. Lubo potężna pochodnia cywilizacyi zapuściła już wiele światła w ponure siedlisko narodów pierwotnych, jednak nie zdołała jeszcze usunąć ztamtąd wiele wstrząsających swą okropnością obrzędów.

Wiele sekt buddyzmu ma dla nieboszczyka jedynie uczucie niewysłowionej wzgardy. Sekty te są tego zdania, że człowiek póty tylko jest istotą wyższą od zwierzęcia, póki w nim przebywa dusza, a skoro ta ostatnia uwolni się z więzów cielesnych, trupa można cisnąć na pożarcie dzikim zwierzętom.

Wyznawcy jednej z niezliczonych gałęzi buddyzmu utrzymują, że zmarłych należy poddawać doświadczeniu, celem wypróbowania, czy nieboszczyk był człowiekiem uczciwym, czy też niegodziwcem. Wynoszą tedy nieboszczyków swoich do lasu, rozpalają ognisko, aby za pomocą dymu przywabić dzikie zwierzęta i oddalają się od trupa na pewną odległość. Jeżeli zwabione zwierzęta rzucają się chciwie na zwłoki, to krewni zmarłego z krzykiem wyskakują z kryjówki, odpędzają je i z czcią zakopują rozszarpane ciało w ziemię; jeżeli zaś zwierzęta, powąchawszy trupa, odchodzą nie tknąwszy go, wtedy krewni zostawiają śmiertelne szczątki w lesie, sami zaś odchodzą, albowiem nieboszczyk musiał być łotrem skończonym, skoro zwierzęta i kruki brzydzą się jego trupem. I zmarły pozostaje na łasce losu.

Ludy Tybetu pewne dni uważają za pomyślne, inne zaś za nieszczęsne — i ten przesąd ma fatalne znaczenie dla pogrzebów. Jeżeli bowiem ktoś umrze w jeden z dni pomyślnych, zwłoki jego zakopują do ziemi i w mogiłę wtykają powiewającą chorągiew; lecz jeżeli biedakowi zdarzy się zakończyć doczesną pielgrzymkę w dzień nieszczęsny, natenczas zawijają go w całun, wynoszą na skraj lasu i położywszy pod drzewem, zdala spoglądają, jakiego gatunku dzikie zwierzę pierwsze rzuci się na zdobycz, przyczem gatunki mają tu wielkie znaczenie, gdyż według nich układa się rodzaj przyszłego pozagrobowego życia nieboszczyka. Wyjątek tu stanowią ludzie znakomitego rodu; tych zakopuje się w ziemi, jeżeli umrą w dzień nieszczęsny; w przeciwnym zaś razie pali się na stosie z wielką ceremonią.

W pustyniach Mongolii, według słów dr. Huka, wyznawcy Buddy wynoszą szczątki zmarłych do jaru lub na wierzchołek wzgórza i zostawiwszy je tam, odchodzą. Podróżnik ten widział na własne oczy jeden z tych opłakanych cmentarzy i był świadkiem takiego okropnego pogrzebu. Przyniesiono przy nim trupa całkiem nagiego, nie okrytego nawet całunem i położono na skale. Lama (duchowny) gwizdnął w muszlę, która wydała dźwięk przeraźliwy. Natychmiast ze wszystkich stron zbiegło się kilkadziesiąt zgłodniałych krwiożerczych psów, powietrze zaś przerznęło mnóstwo kań z purpurowymi dzióbami i czerwonymi, jakby zbroczonymi w krwi, pazurami. Zwierzęta te i ptaki, rzuciwszy się na trupa, niemal w mgnieniu oka przemieniły go w szkielet, najzupełniej ogołocony z mięsa. Szkielet ten krewni rzucili następnie na stos ogólny. — Na cmentarzu tym były także stosy kości i czaszek, tak że podróżnik nasz nie mógł zrobić jednego kroku, by na nie nie padać.

Ale nawet tak okropny zwyczaj grzebania zmarłych jest niczem w porównaniu z tym, który praktykowany jest w wielu okolicach Chin środkowych. Tam mieszkańcy pozbywają się trupów czterema sposobami: palą je na stosach, rzucają do rzek, wystawiają na wierzchołkach gór w klatkach żelaznych i wreszcie — ciskają ich mięso sztuka po sztuce na pożarcie psom.

Oto, w jaki sposób odbywa się ten ohydny obrządek:

Skoro tylko umrze jaki człowiek znakomitego rodu, ciało jego przenoszą do świątyni i przywiązują do słupa. Dokoła zapalają stosy nagromadzonych po-

przednio wonnych traw. Następnie kapłan, odmawiając odpowiednią do uroczystości modlitwę, ujmuje nóż, odcina nim kawał po kawale mięso od trupa i ciska je spędzonym umyślnie psom, które wyjąc straszliwie, wydzierają sobie wzajemnie krwawe szczątki i pochłaniają je na miejscu. Operacya ta trwa dopóty, dopóki szkielet trupa nie zostanie ogołocony doszczętnie z mięśni.

Ale nie na tem jeszcze koniec.

Pozostałe kości tłucze się w olbrzymim moździerzu kamiennym. Do utworzonej z tego miazgi dolewa się oleju mięsza się razem, z czego powstaje rodzaj ciasta, którem w dalszym ciągu kapłani karmią psy.

Jednak nie tylko narody Chin tak sobie poczynają ze śmiertelnemi szczątkami swych ziomków. Indusi, Malajczycy, także członkowie niektórych sekt w Japonii nie ustępują im pod względem pomysłowości w rzeczy barbarzyńskiego pozbywania się ciał zmarłych. Indusi ciskają je w wielkie swoje rzeki Ganges i Indus, które też na falach swoich unoszą nieraz całe gromady trupów, tak iż parowce, płynące po tych rzekach, często bywają ze wszystkich stron niemi otoczone. Okropna woń unosi się nad temi »wodnemi cmentarzami«, których sąsiedztwo nabawia marynarzy chorób zaraźliwych.

U Japończyków z północnej części wyspy Niponu, według słów Blokevilla, dotąd jeszcze zachował się następujący obrządek:

Za miastem wznosi się wieża, której wnętrze jest podzielone na mnóstwo nader ciasnych cel, zaledwie wystarczających do pomieszczenia jednego ludzkiego ciała. W tej wieży żyją całe miliardy szczurów, które złożonego tam trupa w ciągu 2—3 godzin pożerają doszczętnie, zostawiając same tylko kości.

W innych okolicach Japonii ciała składają w klatkach na żer ptakom. Kraty są tak urządzone, że sępy i orły z wielką trudnością mogą dziobami dosięgnąć trupa. Krwiożerce te ptaki nieraz staczają z sobą krwawe walki o zdobycz, przyczem wiele z nich pada trupem, a szczęśliwi zwycięzcy pożerają swych współzawodników razem z ciałem człowieka. Tymczasem krewni z odpowiedniej odległości spoglądają uważnie, które oko nieboszczyka zostanie najpierw przez ptaka wykłute, rzecz to bowiem niezmiernej wagi, jako służąca za podstawę do wielu dociekań.

W Kochinchinie nieboszczyków zakopują w ziemi, ale niezbyt głęboko, układając ich rzędem, prawie jeden obok drugiego. Po upływie zaś kilku miesięcy miejsce to zaorują we wszystkich kierunkach i sieją rozmaite zboża. Jeżeli użyźniony w taki sposób grunt da bogate żniwo, to znaczy, że obrzęd podobał się niebu.

Persowie, czyli czciciele ognia, którzy zgodnie z zasadami nauki założyciela swej religii, Zoroastra, otaczają czcią ogień, ziemię, powietrze i wodę, pragnąc zapobiedz temu, aby żaden z żywiołów nie został zanieczyszczony ciałami zmarłych, oddają je na pastwę sępów. W tym celu budują osobne wieżyce. Wewnątrz tych otwartych u szczytu wieżyc znajduje się platforma, połączona z rodzajem szybu. Wieżyca ma trzy przedziały: wierzchni, najobszerniejszy, jest przeznaczony dla mężczyzn, środkowy dla kobiet, najniższy zaś dla dzieci.

Chmury sępów unoszą się ponad temi wieżami lub obsiadają drzewa sąsiednich lasków. Gdy nagi trup w asystencyi kapłanów i rodziny zostanie złożony w odpowiednim przedziale i wszyscy opuszczą już wieżę, w mgnieniu oka ze wszystkich stron spada na platformę gromada sępów i w przeciągu dwóch godzin dopełnia dzieła zniszczenia. Po kilku dniach wybielone na słońcu kości wrzucane bywają do wewnętrznego szybu. W Bombaju, w najwyżej położonym punkcie Malebar Hill'u, w środku starannie utrzymywanego lasku, wznosi się pięć takich okrągłych wieżyc 25 stóp wysokich, a 200 do 250 stóp mających obwodu. Cmentarzysko to zowią tam »Wieżycami milczenia«.

Indusi w Bombaju palą ciała swoich zmarłych. Obmywają oni najpierw ciało

bez wielkich ceremonii, poczem owinięte w całun lniany składają na stosie. Najbliżsi krewni zmarłego podkładają ogień poczem wszyscy w milczeniu siadają lub stają dokoła, czekając, dopóki się stos wraz z ciałem nie obróci w popiół. Dusza zmarłego przenosi się w inne ciało ludzkie czy zwierzęce, pozostałe zaś niedopalone szczątki szkieletu wydobyte z popiołu składa się w naczyniu glinianem wraz z owocem bananu, liściem betetu, cytryną, pomarańczą i klejnocikiem, co wszystko razem wrzuca się do morza. Ceremonia dla wszystkich jednakowa — zarówno dla bogaczów jak i dla nędzarzy, z tą tylko różnicą, iż pierwszym wznoszą stosy z cennego drzewa, n. p. sandałowego.

Nieposzanowanie niebożczyka i poniżenie trupa właściwe jest tylko mieszkańcom Azyi. Jeżeli zajrzymy do Ameryki południowej i Afryki, znajdziemy i tam niemało wstrząsających swą ohydnością obrządków grzebania umarłych.

Kafrowie często przywięzują zmarłych do belek i ciskają do rzeki na pożarcie rybom i aligatorom, albo zaszywszy ciała w worki, wynoszą jak najdalej od swych siedzib, zostawiając na pastwę szakali i zgłodniałych hyen.

Aszantowie umierających zakopują niemal żywcem, podczas konania, twierdząc, że tylko takim sposobem można zatrzymać duszę w ciele.

Buszmeni zarzucają konających kamieniami lub zasypują piaskiem.

Ale po co szukać tak daleko. Kałmucy w Rosyi, którzy wierzą w nieśmiertelność duszy, tylko trupa człowieka, który żył cnotliwie, czczą pogrzebem, zaś niegodziwego rzucają w wodę lub oddają psom na pożarcie.

W obec tego wszystkiego gorąco sobie życzyć należy, ażeby światło wiary świętej jak najprędzej udzieliło się tym nieszczęśliwym narodom. Religia jedyna bowiem zdolną jest zmienić cały obecny sposób ich życia i dać im poznać cel i przeznaczenie człowieka.

PIĘKNE PRZYKŁADY WALECZNOŚCI NASZYCH PRZODKÓW.

Za panowania Bolesława Wielkiego jeszcze tu i owdzie panowało bałwochwalstwo, gdyż dla szczupłej liczby kapłanów, znających język polski, nie można było przekonać pogan o prawdziwości religii chrześciańskiej. Pewna liczba rycerzy, którzy nie chcieli porzucić czci starosłowiańskich bogów, zbudowała sobie na niedostępnej górze Łysej, dziś Świętokrzyską zwanej, warowny zamek, gdzie się kłaniano fałszywym bożyszczom. Król Bolesław wezwał opornych rycerzy, aby przyjęli chrześciaństwo i oddali zamek, ale usiłowania te nie odniosły pożądanego skutku. Dzielny monarcha postanowił siłą zbrojną przełamać opór, dla tego zebrawszy hufiec wojowników, wyruszył ku górze Łysej. Nie łatwa to była sprawa, gdyż buntownicy byli dobrze uzbrojeni, a stroma góra nie dozwalała przystępu. Tem trudniejszą była walka, gdyż był to czas zimowy, a całą górę pokrywały śniegi i lody. Jeźdzcy pędzili śmiało pod górę, ale mając niepodkute konie, nie mogli podjechać pod mury warowni.

Poganie urągali się z wojska, wołając: »Jednego z was wybierzcie, coby chciał za Chrystusa waszego stoczyć pojedynek z rycerzem, którego wybierzemy.« Wnet się do boju zgłosił pewien wojownik, zwany Jastrzębczykiem, gdyż używał jastrzębia na swej tarczy za godło. Wyznaczono miejsce do walki niedaleko zamku, ale rycerz nie mógł przybyć, gdyż koń jego na gładkim lodzie wciąż się potykał. Wielka ztąd panowała wesołość pomiędzy obleżonymi, a smutek w wojsku królewskiem.

Jastrzębczyk, pełen żarliwości dla świętej wiary przemyśliwał nad sposobami, aby mógł wjechać na szczyt góry. Razu pewnego zaszedł w las daleko zadumany. W tem nagle doleci go odgłos młotu kowalskiego. Rycerz stanął, a w tej chwili ujrzał kowala, który się tak odezwał:

— Jakoś jesteście frasobliwy, panie rycerzu. Jakiż to smutek gniecie waszą duszę?

— Mój dobry człowieku — rzecze Jastrzębczyk — nie powiem wam smutku, bo i tak mi nie poradzicie.

— Kto wie, — odpowiedział kowal — ho, ho, z niejednego pieca chleb jadłem, byłem daleko w świecie, a za młodu wojowałem. Nad rzeką Cydyną, pod dowództwem Mieczysława, rodzica naszego miłościwego króla, odebrałem tę kresę na twarzy.

— Witam towarzysza rycerskiego rzemiosła. Nie będę taił, co mi dolega. Oto na tej górze zamknęli się wyznawcy starej wiary, a nie podobno do nich dojechać, gdyż lód okrutnie gładki. Mam się jutro stawić na pojedynek, a nie wiem, jak podjadę.

— Jeżeli nie chodzi o nic więcej, to mogę wam pomódz. Kiedym wojował w niemieckiej ziemi, widziałem jak koniom przybijano pod nogi okrągłe kawałki żelaza, a wtedy konie szły bezpiecznie po lodzie. Umiem podkuwać konie i mogę wam wnet waszego rumaka opatrzyć w podkowy.

Rycerz nie namyślając się długo, poprosił o podkucie, a na drugi dzień istotnie podjechał na szczyt góry, gdzie stoczył pomyślną walkę z pogańskim wojownikiem, a powaliwszy go na ziemię, wziął w niewolę i przyprowadził przed króla. Opowiedział też, jakiej zażył sztuki, żeby się dostać na wierzchołek Łysej góry. Król kazał zaraz zawołać kowala, aby tenże podkuwał konie wojowników. Kowal sprowadziwszy kilku towarzyszy, zwijał się szybko, a wkrótce połowa hufca miała podkute konie. Z łatwością pod dowództwem Jastrzębczyka stanął oddział przed zamkiem rychło rano, a że nie było straży, przeto wtargnęli rycerze we wnętrze zamku, gdzie śpiących przeciwników częścią wysiekli, częścią wzięli w niewolę.

Za tę waleczność dodał król Bolesław Jastrzębczykowi do godła jastrząb podkowę z krzyżem. W taki sposób powstał herb Jastrzębiec, który przedstawia u góry na koronie jastrzębia, trzymającego w szponach podkowę z krzyżem. Jest to jeden z najstarszych i najwięcej rozpowszechnionych polskich herbów, którym się pieczętuje przeszło 300 rodów szlacheckich.

Pamiętał także dobry król Bolesław o kowalu, gdyż zamianował go królewskim podkuwaczem koni i wezwał do Gniezna, gdzie mu oddał ładny dworek i kawał ziemi. Wdzięczny kowal podkuwał konie polskiej jazdy, co się przyczyniło do odnoszenia zwycięztw.

* * *

Do wojska Bolesława Wielkiego wstąpił młody kmieć, zwany Trzaska. Był to chłop tak silny, że jednym zamachem szablicy przecinał kark wołowi. W pewnej bitwie otoczyli króla nieprzyjaciele. Groziło mu już wielkie niebezpieczeństwo, w tem podbiega Trzaska i zaczyna mieczem siec. Za każdem uderzeniem spadała głowa nieprzyjacielska na ziemię. Zabił już sześciu wrogów, a pozostało jeszcze trzech żołnierzy. Zamierzy się Trzaska i rąbnie co siły potężnym mieczem, który jednakże uderzywszy o mocną zbroję, pęknął przy rękojeści. Król zaraz dobył swego miecza i podał Trzasce, a ten niedługo i owych trzech nieprzyjaciół na śmierć zarąbał. Ale i miecz królewski w ręku dzielnego kmiecia się przełamał. Król pochwalił Trzaskę i nadał mu herb szlachecki, zwany Trzaską. W herbie tym widzimy na dole dwa niecałe miecze z rękojeściami, które się schodzą, a w tem miejscu znajduje się półksiężyc. Wyżej hełm i korona, a nad nią pawi ogon, w którym znowu wyraźnie dwa miecze z krzyżami i półksiężycem.

Jeden z Trzasków założył klasztor księży Benedyktynów w Lubiniu pod

Grodziskiem w Wielkopolsce. Klasztor ten na pamiątkę swego założyciela pieczętował się herbem Trzaską.

* * *

Odznaczył się też w tych czasach niezwykłem męztwem i przytomnością umysłu giermek Jan, zwany później Strzemieńczykiem. Wyruszył on z królem 1018 roku do Kijowa. Dnia 22 Lipca przyszło do bitwy nad rzeką Bugiem pomiędzy wojskiem polskiem a księciem ruskim Jarosławem, który zgromadził nieprzeliczone mnóstwo Rusinów i Waregów. Bitwa była bardzo zacięta, gdyż nieprzyjaciele mieli liczebną przewagę. Jan Strzemieńczyk dokazywał cudów waleczności, dla tego wkrótce stał się postrachem Rusinów. Wtem, gdy uderza na samego księcia Jarosława, ubito mu konia. Wojownik pada na ziemię nieuszkodzony, ale nie mógł zaraz powstać, gdyż go nietylko koń przywalił swoim ciężarem, lecz jeszcze na dobitkę złego zaplątały mu się nogi w strzemiona. Nieprzyjaciele dopadają i byliby go na miejscu rozsiekli, gdyby był Jan stracił przytomność umysłu. Ale ten porwał strzemię z rzemieniem i ugodził tak potężnie jednego z nacierających, że zabił go na miejscu. Zręcznem rzutem powstał z ziemi, a dosiadłszy rumaka nieprzyjacielskiego, zaczął walić potężnie strzemieniem napastników. Zabił jeszcze jednego, kilku zranił, a jednego zabrawszy w niewolę, przyprowadził przed króla. Ucieszył się Bolesław Wielki na widok takiego męztwa, to też pochwalił żołnierza i dał mu herb strzemię, którego po dziś dzień używa kilkadziesiąt rodów szlacheckich.

* * *

W kilkadziesiąt lat później sprawił się podobnie na Rusi rotmistrz Radwan, wojując pod Bolesławem Śmiałym, prawnukiem Bolesława Wielkiego. Ten Radwan wysłany był z małym hufcem żołnierzy na zwiady. Wtem trafia na obóz nieprzyjacielski. Mężny Radwan śmiało uderza, choć przeciwnicy dziesięćkroć byli silniejsi liczbą. Nie dziw też, że został odparty, a nawet zabrano mu chorągiew. Kto inny straciłby może ducha, ale nasz Radwan pobiegł szybko do poblizkiego kościoła, pochwycił chorągiew kościelną i zgromadził rozpierzchłe rycerstwo. Uderza znowu. Nieprzyjaciel sądząc, że nowy zastęp polski przybył na pomoc, zaczyna uciekać, a Radwan zatrzymuje plac boju. Za ten czyn dzielny król nadał mu chorągiew za herb, t. j. godło szlachectwa.

Takie to męztwo ożywiało naszych przodków w wieku XI t. j. w czasie od roku 1000 do 1100. To też Bolesław Wielki zdobywał liczne ziemie i przyłączał do Polski, a wnuk jego Bolesław Śmiały walczył z powodzeniem na Rusi, w Czechach i Węgrzech, roznosząc sławę polskiego imienia w tych postronnych krajach.

ZBIEGOWIE Z WYSPY ZACHALIN.

(Ciąg dalszy.)

Bracia! wybaczcie, jestem stary, — mówił — od czterdziestu lat tułam się po najrozmaitszych miejscach. Jestem zbyt znękany, ażebym był w posiadaniu pełni sił życia. Pamięć już mam bardzo słabą. Niejedno wspomnienie co prawda żyje jeszcze w umyśle moim ale większą część zapomniałem. Teraz musimy się spieszyć, ażeby nas przypadkiem kto z warty, albo pies nie wywęszył, bo inaczej — żegnaj mi świecie.

Po tym wypadku obrano mnie przewodnikiem. Ja musiałem wydawać rozkazy i kierować ucieczką. Nie znając dokładnie dróg a nie chcąc się spuszczać na Burana, woleliśmy o ile możności omijać wszelkie drogi, zkądby nas dojrzeć było można.

Udało nam się szczęśliwie obejść wszelkie warty z wyjątkiem ostatniej...

* * *

Tu Wasyli przestał mówić. Twarz mu spochmurniała, ponuro wpatrzył się w trzaskający wesoło w piecu ogień. Tedy to dość długą trwało chwilę, przypominałem mu się, żądając dokończenia opowiadania o ucieczce swej.

— Cóż ja mam Panu jeszcze opowiadać — rzekł z niezadowoleniem. — Ja doprawdy nie wiem... przeżyliśmy ciężką chwilę!... Lecz skoro rozpocząłem, to dokończę...

Po ośmiu dniach bylibyśmy powinni znajdować się już na końcu wyspy, a tu minęło już dni dwanaście, końca zaś jeszcze widać nie było. Pochodziło to ztąd, że nie mając porządnego przewodnika kryliśmy się po górach i rozmaitych kniejach. Zapasy żywności zaczęły nam się na dobre wyczerpywać. Dla tego zmniejszyłem każdemu część ma przynależną. Miejsce sucharów zastępowały po części jagody, których w lesie było pełno. Nareszcie stanęliśmy u zatoki Limanem zwanej. Cóż, kiedy łódek do przeprawy nie było. Pytamy Burana, w jaki sposób możnaby przyjść w ich posiadanie?

Buran odpowiadał jednak na to ogólnikowo: u krajowców. Gdzie jednak ci krajowcy mieszkają i jakby się do nich dostać, tego powiedzieć nie umiał. Postanowiliśmy w końcu za jakąbądź cenę przyjść w posiadanie jakiejkolwiek łódki. Kazaliśmy towarzyszom naszym zatrzymać się na miejscu, sami zaś szliśmy wzdłuż brzegu, ażeby się rozpatrzeć i poszukać kogokolwiek, któryby nam łódek dostarczył. Nagle ujrzeliśmy jakiegoś człowieka, naprawiającego liny. O mało nie krzyknęliśmy z radości. Serdecznie Bogu dziękowaliśmy, że nam go zesłał. Nazywał się Orkun.

Wiedział, o co nam chodzi, ponieważ już nie po raz pierwszy miał do czynienia z zbiegami. Ponieważ nie znał języka rosyjskiego, my zaś jego krajowego nie rozumieliśmy, dla tego na migi dał nam poznać, że pragnie się widzieć z nami wszystkimi. Wyglądało nam to jego zachowanie się podejrzliwie, ale cóż mieliśmy robić? Musieliśmy z nim obejść się grzecznie, bo inaczej nie byłby nam dał łódek a pieszo przez morze przejść przecież nie mogliśmy. Nasi towarzysze okazali nam głośno swe niezadowolenie, widząc obcego przybysza pomiędzy sobą.

— Po coście nam go tu sprowadzili? Na to, ażeby mu pokazać naszą kryjówkę?

Uznawaliśmy słuszność tej uwagi i dla tego w milczeniu takową przyjęliśmy. Pokazało się jednak, żeśmy Orkuna obwiniali niesłusznie. Kazał się on do nas wszystkich zaprowadzić jedynie, ażeby odebrać zbytnie nasze kaftany jako wynagrodzenie za przewiezienie nasze.

Gdy jednak zabieraliśmy się do wsiadania do łódek, powstał straszny wicher. Bałwany poczęły się silnie piętrzyć, tak że o przeprawie mowy być nie mogło. Przez całe dwa dni trwał wicher, przykuwając nas do miejsca, na którem przebywaliśmy. Jakie katusze moralne w tym czasie przebywaliśmy, ten tylko pojąć zdolen, kto się znajdował w podobnem położeniu. Być tak blizko celu, widzieć przed sobą zbawczy ląd, z drugiej zaś strony niebezpieczeństwa, które właśnie teraz były największe ze względu na pobliże najniebezpieczniejszego kordonu, a nie módz postawić nogi w miejscu bezpiecznem, straszne to uczucie.

W trzecim dniu wciąż jeszcze wicher trwał, rozbijając bałwany o brzeg morski. Przebrała się jednak chorobliwa cierpliwość zbiegów. Postanowili stoczyć walkę z srogim żywiołem i wyruszyć o północy na morze, zdecydowani na wszystko.

Wszyscy zabawiali się naradami. Buran jedynie nie brał w nich udziału.

Usiadłszy na samotnem miejscu, wpatrzył się smętnym wzrokiem w drugą stronę morza, gdzie był ląd zbawczy. Nic w około niego go nie obchodziło, nie myślał o posiłku nawet. Od czasu do czasu zlitował się nad nim jaki towarzysz i przyniósł mu na pokrzepienie sił nieco jagód, bo niemi dla braku in-

nego pożywienia się posilano. Przyjmował Buran te oznaki litości z wzruszeniem szczerem, nic jednak nie odpowiadał. Milczał jak grób.

Ja tymczasem, gotując się do ponurej nocnej przeprawy, postanowiłem wypocząć z towarzyszami, ażeby z świeżemi siłami zabrać się do dzieła.

Pomodliłem się zatem krótko, przeżegnałem się i następnie usnąłem. Usnęliśmy wszyscy spokojnie z uśmiechem na ustach, nie przeczuwając strasznego niebezpieczeństwa, wiszącego nad głowami naszemi.

Nagle słyszę ciche wołanie Burana:

— Wstań, oni są tam, przychodzą po nas! — i równocześnie wskazuje na sąsiednie krzaki.

Zrywam się co tchu i widzę skradających się ku nam z wymierzonemi lufami sołdatów z »Pogiby«, to jest z kordonu. Wołam głośno na towarzyszy, — ci się zrywają, dobywają swych długich noży i nuże teraz do obrony. Zaledwie pierwszy z sołdatów wystrzelił, my natarliśmy na niego.

Tu Wasyli przystanął... spuścił głowę i pogrążył się w bolesnem dumaniu. Pragnął mówić po chwili, ale słowa w gardle mu uwięzły.

— Dla czegóż ja jednak opowiadam! — przemówił nagle głosem, w którem przebijało się jakby błaganie.

— Wszystko jedno, teraz już skończcie, proszę o to; cóż się dalej stało?

— Dalej... no, nas było dwunastu... ich zaś było tylko sześciu... zdołali raz zaledwie wystrzelić... reszta schodziła bowiem z góry dopiero, a za nim przyszli do strzału, myśmy na nich już natarli.

— Tak — mówił żałośnie, spoglądając na mnie — oni nie zdążyli się nawet bronić, my bowiem jak wilki wściekłe na nich natarliśmy... Jeden z żołnierzy uderzył mnie bagnetem i lekko mi zranił nogę; potknąłem się, upadłem, on upadł na mnie. Nad nim pochylił się Makarow... nagle poczułem, że coś ciepłego spływa mi po twarzy. Ja i Makarow podnieśliśmy się, żołnierz jednak pozostał na ziemi... Nie powstał więcej.

Obejrzałem się po za siebie, a tu na pagórku stoi Sułtanów, komendent twierdzy, ów straszny człowiek, którzy daleko i szeroko szerzył postrach nietylko pomiędzy samymi krajowcami. Niejednego z braci naszych posłał na tamten świat. Tą razą miało się stać przeciwnie.

Dwóch Czerkiesów, odważnych a przebiegłych, podsunęło się ku niemu. Sułtanów dał ognia, jeden z Czerkiesów pochylił się i strzału uniknął. Rzucił się następnie naprzód i przy borykaniu się z Sułtanowem obaj powalili się na ziemię. Drugi Czerkies sądząc, że towarzysz jego zabity, rzucił się na komendanta... zabłysnął długi nóż w powietrzu i głowa Sułtanowa odpadła od tułowia.

Zbledliśmy z przerażenia i patrzyliśmy jak obłąkani na tę scenę. Czerkies tymczasem, wydawszy okrzyk głośny, rzucił trzymaną w ręce głowę w powietrze. Plusk głośny... woda zasyczała... i głowa Sułtanowa znikła w morskich głębinach.

Wszystko odbyło się tak nagle, tak szybko, żeśmy sami siebie się zapytywali: był — że to sen, czy też rzeczywistość? I drzeliśmy na samą myśl, że to wszystko smutną rzeczywistością. Czuliśmy, że jeśli dotąd podróż nasza była niebezpieczną, to teraz stanie się tem niebezpieczniejszą jeszcze. Lotem błyskawicy rozniesie się bowiem wiadomość o śmierci Sułtanowa i każdy z urzędników uczyni, co będzie w siłach jego, ażeby go pomścić.

Nagle usłyszeliśmy jęk i westchnienie głuche. Pochodziły one od Burana. Kula żołnierza ugodziła go śmiertelnie. Spoczywał pod modrzewiem.

— Bracia, — mówił żałośnie, — wszak przeczucie nie omyliło mnie. Zostanę na tej wyspie, choć tak bardzo tęskniłem do rodzinnej mej ziemi. Czuję, że umieram, dla tego nie zwlekajcie i zawczasu przygotujcie mi grób.

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-S. — Redaktor odp: Adam Napieralski w Bytomiu.

Pomiędzy ludożercami.

(Dokończenie.)

Wtedy dopiero komendant zatrwożył się następstwami swego okrucieństwa; usiłował zaspokoić rozwścieczoną gromadę i odesłać ją na miejsce zkąd przyszła, lecz już było zapóźno. Pijani krwią i szałem, indyanie nie chcieli, czy też nie byli już w stanie wyrzec się ludożerstwa. Jeszcze w 1864 roku przystęp do warowni zawalonym był zbielałemi kośćmi ludzkiemi, które wyrzucone z kotłów walały się w kurzu i błocie. Po dwudziestu dwu latach nikt jeszcze nie pomyślał o sprawieniu im pogrzebu; ślady wygasłych ognisk jeszcze gdzieniegdzie były widoczne. Pod każdą zeschłą gałęzią porzuconą na drodze, pod każdym zielonym krzakiem znajdywałeś czaszki trupie lub rozwiedzione żebra ludzkie.

»Nie chciałem jeść ręki mego ojca«, mówiła do mnie piękna młoda kobieta, »miałam podówczas lat siedm, nie mogłam bez wstrętu i grozy patrzeć jak go mordowano. Matka moja, słysząc moje krzyki, zawołała z wściekłością: jeżeli nie chcesz jeść razem z nami, to znaczy, że jesteś przeciw nam, że nienawidzisz nas. Strzeż się, bo jak nie posłuchasz, to na ciebie przyjdzie kolej i będziesz zjedzoną! Strwożona umilkłam i tłumiąc łkanie, które rozrywało mi piersi, spożyłam wstrętne jadło. Bałam się obłąkanych oczu matki.«

»Nie chciałam pozostać w warowni,« mówiła mi jedna z ofiar, »wzięłam synka mego jedynego za rękę i poszłam w stepy, kierując się ku błoniom. Mogłam zginąć w drodze, lecz wolałam to, niż zginąć z ręki własnych krewnych. A jednak ja także spożywałam ciało mego ojca; krew jego wsiąknęła w moję krew; ciało jego stało się mojem ciałem, i dziś zgryzoty dręczą mnie strasznie i przyprawiają o utratę zmysłów. Jakżeż to będzie w dzień sądu ostatecznego i jak się dokona rozdział dwóch istót naszych spojonych w jedno?...

Nie chciałam zabierać dziecka z sobą, ponieważ przeszkadzałoby mi w drodze; nie mogłam się również zdecydować na ludożerstwo — postanowiłam więc opuścić je na los szczęścia.

Wieczorem zatrzymaliśmy się pod lasem na nocleg. Schwytałam przepiórkę na sidła; zjedliśmy ją do wspólki a nazajutrz rzekłam synkowi: idę zastawiać sidła na zające, a ty tu zostań i grzej się przy ogniu aż do mego powrotu.

I uciekłam, płacząc gorzko na myśl o śmierci okrutnej, na którą skazywałam dziecko. Lecz cóż mogłam uczynić? Wieczorem zatrzymałam się, samotna tym razem, na nocleg w Sawannach, płacząc ciągle. Nazajutrz, budząc się, ujrzałam dziecko moje śpiące u mego boku! Nie mogąc doczekać się mego powrotu, poszło w moje ślady i odnalazłszy wśród nocy, zasnęło ze znużenia, położywszy się na ziemi.

Kiedy tak — rzekłam — to już nie opuszczę cię więcej. Będziem żyć lub umrzemy razem.

Słyszałam nieraz od pewnego francuza z Kanady, że jest jakiś dobry Bóg na niebie, lecz nic zgoła nie wiedziałam o nim. Odtąd zawsze myślę, że ten Bóg uratował mi życie za to, że ulitowałam się nad moim synkiem i nie zjadłam go jak to uczyniły inne matki.

Trzeciego dnia dostrzegliśmy na śniegu zajęcze ślady. Zastawiłam sidła i nachwytałam ich więcej niż potrzeba było dla nas dwojga. Wtedy pomyślałam o krewnych moich, którzy zabijali się z głodu pod murami warowni, chociaż ratunek mieli tak blizko — zające roiły się dokoła. Nie mieli dość energii otrząść się z pod wpływu rozpaczy.

Nareszcie dziesiątego dnia dosięgliśmy brzegów wielkiego leśnego jeziora. Śnieg tak wysoko zaścielał ziemię, że zaledwie mogliśmy iść naprzód.

Gdy pokolenie Kha-tho-Gottinesów posłyszało od nas o okropnem położeniu swoich współplemienników, wysłano spiesznie kilka sani naładowanych żywnością i mięsem. Tym sposobem resztka tych nieszczęśliwych została ocaloną od głodowej śmierci.«

Tu kończy się opowiadanie młodej indyanki.

Dwie inne kobiety przytoczyły mi jeszcze drugi krwawy epizod straszliwego tego dramatu, który rozegrał się wśród zimnych śniegów północy.

Jedna i druga pożarłszy dzieci i mężów, uciekły z fortecy aż nad ujście rzeki Tiedagory, gdzie spodziewały się wyżyć jako tako, schwytanymi w polu zającami, ale nadzieja zawiodła je srodze — okolica nie obfitowała w zwierzynę. Głód straszliwy dał im się wkrótce uczuć w całej swojej okropności.

»Pewnego dnia dwóch szkotów, wiozących depesze z fortecy Simpson do warowni Mac-Ferson, przybyli na popas do namiotu tych kobiet, które przyjęły ich gościnnie. Nie podejrzywając niczego, podzielili się z nimi swoimi zapasami żywności, za to żądali od nich noclegu.

Nie przebudzili się więcej: kobiety zamordowały ich, rozszarpały ciała jak mięso zwierzęce, powykrawały lepsze części, a resztę niespożytą zaraz zasoliły na później.«

Wkrótce potem udając się na Morze Lodowate, wylądowałem czołnem na brzeg w miejscu, gdzie straszna ta zbrodnia została dokonaną. Kości biednych szkotów bielały dotąd na łące, a ślady spalonego ogniska przy którem sporządzoną została ta ohydna uczta, widniały jeszcze wśród zielonego gąszczu. Zebrałem szczątki tych nieszczęśliwych i pochowałem je pobożnie, chroniąc przed żarłocznością dzikich zwierząt.

Wieleż to scen podobnych mógłbym przytoczyć, aby potem powiedzieć, że człowiek zostawiony nizkim swoim instynktom nie jest lepszym od zwierzęcia.

Bolesław Krzywousty, król polski.



BOLESŁAW KRZYWOUSTY, KRÓL POLSKI.
(Podług obrazu Jana Matejki).

Podajemy piękny obrazek tego bohaterskiego króla polskiego, wykonany podług rysunku Jana Matejki, a wyjęty z drugiego zeszytu »Dziejów Ślązka« przez dr. Feliksa Konecznego.

Drugi ten zeszyt zawiera następującą treść historyczną:

Św. Wojciech, król Bolesław Chrobry i cesarz Otton III. — Zajęcie Czech. Wojny z Niemcami. — Zdobycie Kijowa. — Koronacya Bolesława Chrobrego. — Mieczysław II. — Kazimierz Odnowiciel. — Umowa o Ślązk. — Bolesław Śmiały. — Waśń królewiczów Zbigniewa i Bolesława. — Bolesław Krzywousty. — Wojny ślązkie. — Sławna obrona Głogowa. — Nawrócenie Pomorza. — Podział państwa polskiego przez Krzywoustego. — Władysław II. i Piotr Włast.

IV. Ślązk pod zwierzchnictwem krakowskiem. Mieczysław Stary i Mieczysław Raciborski.

W zeszycie 2-gim mieszczą się następujące obrazki: Widok miasta Cieszyna. — Wieża zamku Piastowskiego w Cieszynie. — Trumna z zwłokami św. Wojciecha w Katedrze gnieźnieńskiej. — Bolesław Chrobry. — Korona polska, berło i jabłko królewskie. — Bolesław Krzywousty. — Władysław II. — Klasztor św. Wincentego we Wrocławiu za dawnych czasów. — Zamek Piastowski w Opolu. — Zamek Piastowski w Raciborzu. — Widok ruin zamku Piastowskiego w Oświęcimiu. —

»Dziejów Ślązka« wyszły dotąd dwa zaszyty, zawierające 6 arkuszy druku (96 stron) i 20 bardzo pięknych obrazków, między nimi cztery podług rysunku Jana Matejki.

Oba zeszyty są do nabycia za 60 fenygów, z przesyłką 70 fenygów z Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu.

Na całość »Dziejów Ślązka« złoży się mniej więcej dziesięć zeszytów czyli 30 arkuszy druku i około 100 pięknych obrazków. Będzie to książka bardzo piękna i cenna, zasługująca na jak największe rozpowszechnienie.

Cena zeszytu 30 fen. z przesyłką 35 fen., za całość zatem 3 marki jest bardzo niska.

Zachęcamy abonentów »Światła«, ażeby jak najliczniej »Dzieje Ślązka«, kupowali i do nabywania znajomym polecali. Na Ślązku powinny »Dzieje Ślązka« — jak trafnie pisze Gwiazdka Cieszyńska, — leżeć obok »Żywotów Świętych« w każdym domu na stole do codziennego użytku dla całej rodziny.

Praktyczne rady.

— **Leczenie oparzelizny.** Znakomitym środkiem na oparzeliznę jest połączenie gliceryny z collodium. Tą mięszaniną smaruje się miejsce oparzone kilkanaście razy dziennie; rana nader szybko się goi.

— **Suszenie bielizny.** Mokra bielizna, wystawiona po praniu na mróz, bardzo łatwo pęka. Ażeby temu zapobiedz, trzeba dodać garść soli kuchennej do wody, w której bielizna się płócze. Potem można bezkarnie suszyć ją na mrozie.

— **Rady dla cyklistów.** Jazda na kołowcu jest bezpieczną dla osób zdrowych, byle tylko zachowały pewne środki ostrożności. Najbardziej uciążliwe są początki; to też najlepiej wprawiać się w jeżdżenie na bicyklach nizkich, ażeby w razie grożącego upadku, módz w każdej chwili zeskoczyć na ziemię. Podczas jazdy trzeba się trzymać prosto. Wszelkie wyścigi lepiej zostawić cyklistom z zawodu, zadowolenie bowiem miłości własnej w razie wygranej, nigdy nie wynagrodzi straty sił i zdrowia. Pod górę zawsze jechać wolno, najpraktyczniej zaś unikać takiego terenu. Wszelkie nadmierne zmęczenie szkodzi; strzedz się tego należy. Jeżeli kto ma wadę serca, cierpi na chroniczne zapalenia oskrzeli, pluje krwią, ma trudny oddech, lub inną jaką dolegliwość, powinien bezwarunkowo wyrzec się przyjemności tego sportu.

Rozmaitości.

* **Szlachetny czyn.** Z Chyrowa w Galicyi donoszą: Dnia 18-go b. m. w Kościenku wieśniak pewien, ojciec 6 dzieci, wozem naładowanym drzewem przeprawiał się przez Strwiąż. Nagle w środku rzeki porwała go fala, bryły lodu obaliły go wraz z końmi i uniosły. Dopiero opodal poniżej wyrzuciły nieszczęśliwego na wymulisko. Człowiek i konie zamotane w postronki nie mogły sobie dać rady, a przygniatane lodami, na niechybną narażone były zgubę. Z brzegu mnóztwo ludzi przypatrywało się tej rozpaczliwej scenie, a nikt nie miał odwagi, aby pospieszyć z pomocą. Na szczęście zjawił się poczmistrz Józef Brauner. Bez namysłu wraz z pocztylionem rzucił się w nurty rwącej wody i z niebezpieczeństwem własnego życia uratowali człowieka z końmi już prawie skrzepłego od zimna, bo ledwo go na brzegu docucono.

* **Zużytkowanie wodospadów Niagary.** Z Buffalo donoszą pod datą 17 bm: O godz. 1 po północy burmistrz Buffalo, w otoczeniu pierwszych obywateli miasta, oznajmił 21 wystrzałami działowymi, że wodospady Niagary odtąd służyć będą Buffalo jako źródło siły. W odległości 26 mil angielskich od miasta woda katarakt Niagarowych spływa wąskiem wyżłobieniem na turbinę, położoną o 17 stóp niżej i poruszającą walec, który ma 22 cale średnicy i wykonywa 250 obrotów na minutę. Ponad tym walcem stoi maszyna dynamo o sile 5000 koni. Trzy takie maszyny, o sile 15.000 koni ogółem, zaopatrują dziesiątki fabryk, tramwajów oraz niezliczone domy w siłę. Pierwszym klientem w Buffalo jest miejscowe towarzystwo ulicznej kolei konnej, a z czasem wszystkie fabryki tamtejsze czerpać będą siłę motorową z wodospadów Niagary. Buffalo, które ma 350.000 mieszkańców, odległe jest o 22 mil. ang. od Niagara City.

* **Pożar miasta.** Z Ameryki południowej donoszą o straszliwym pożarze, który zniszczył w ciągu dwóch dni całe miasto Guayaquil na wybrzeżu oceanu Spokojnego. Płomienie szerzyły się tem łatwiej, iż port w Guayaquil, jak we wszystkich miejscowościach, często nawiedzanych przez trzęsienia ziemi, zbudowany był z drzewa. Pożar szerząc się gwałtownie, strawił w krótkim przeciągu czasu 1500 domów, w tem kilkadziesiąt gmachów rzą-

dowych, kościołów, teatrów, banków, hoteli itp. Grozę pożaru zwiększały jeszcze ciągle eksplozye prochu, złożonego w arsenale miejscowym. Na domiar złego w drugim dniu klęski srożył się nad miastem huragan, który przyprawił o śmierć sześciu ludzi. Pod zgliszczami znaleziono 23 trupów, dotychczas jednak liczba ofiar nie jest określona. Wiadomo, że wielu mieszkańców brakuje. Straty materyalne sięgają 125 milionów franków, z czego asekuracya powinna była pokryć 30 milionów, gdyby nie fakt, iż nazajutrz po ugaszeniu pożaru, wszystkie miejscowe towarzystwa akcyjne ogłosiły bankructwo.

* **Nansen** wybiera się w nową podróż. Znakomity podróżnik kazał zbudować w Laurwig, w Norwegii, yacht objętości 20 ton i zamierza na tym statku odbyć podróż naukową wzdłuż wybrzeży Norwegii i Szpicbergu. Celem podróży jest przeważnie dalszy ciąg studyów nad dnem morskiem, rozpoczętych już na »Framie«.

* **Z liczby** 38 sułtanów, którzy od chwili zdobycia przez Turków Carogrodu rządzili państwem ottomańskiem, 34 zginęło śmiercią gwałtowną. W ciągu pięciuset lat zaledwie czterech sułtanów zmarło w sposób naturalny. Sułtan Abdul Medżidi, ojciec obecnego, został otruty. Następca jego, brat młodszy, został zdetronizowany, a następnie zamordowany. Siostrzeńca ostatniego i następcę, Murada, zdetronizowano pod pozorem, że cierpi na pomieszanie zmysłów. Murad w rzeczywistości był zdrów zupełnie, ale jako człowiek postępowy, dążący pomiędzy innemi do równouprawnienia kobiet, był nienawidzony przez sfery rządzące. Pewnego dnia skorzystano z jego rozdrażnienia nerwowego i przypisano mu cierpienie umysłowe. Wogóle los sułtanów tureckich nie jest godnym zazdrości.

ŻARTY.

— Jakże idzie interes, kumie?

— Wcale nieźle, nie mogę się skarżyć. Przed chwilą zarobiłem sześć rubli.

— Jakim sposobem?

— Jeden kawaler chciał wziąć na kredyt parę kamaszków, a ja mu nie dałem.

— A to skaranie boże, przez całe pół godziny stoję tu przy kominie i mleko się nie gotuje, a ledwie pięć minut wyszłam przed bramę, to jak na złość wykipiało!

Przy kasie kolejowej.

— Proszę o bilet dżeczynny do Warszawy dla te małe dziewczynke.

— Jakto? przecież to już dziewczyna dorosła?

— Ny, to co... kiedy una jeszcze ani czytacz ani pisacz nie umi!

Rozwiązanie zagadek z Nr. 21:

1.

Mądrości berło piastować.
Ludzkość miłością owionąć.
Potęgą czynu panować,
A duszą w Bogu zatonąć.

Dobrze odgadli: Jadwiga Thierling z Jeżyc, Jan Posadzy z Szymborza, Helcia Katke z Oliwy, Wiktor Nędza z Józefowca.

2.

Sławuta, **wa**lka, **jest**estwo, **jak**obini, **o**bręcz, **gien**iusz, **ga**duła, **śnie**żka, **nie**znajomy, **pod**płomyk, **sy**laba, **ca**łość, **na**rośl.

Sława jest jak ogień, gaśnie nie podsycana.

Dobrze odgadł: Jan Posadzy z Szymborza.

3.

		g	g	b		
		r	o	i		
g	r	o	m	a	d	a
g	o	m	o	ł	k	a
b	i	a	ł	o	ś	ć
		d	k	ś		
		a	a	ć		

Dobrze odgadli: Helcia Katke z Oliwy, Müller z Małej Kołudy, Frank z Zaborza.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.